

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 4 [661]

21 II — 5 III 1968 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CZERWONE KASKI

PRZELEĆ MINIE CZARNY PTAKU...

KONIEC
„SPRAWY LEKARZY”
Dlaczego
kradniemy?

SCENY
mitosne



Miss Ziemi Lubuskiej '88 — MALGORZATA DYBUS z Gorzowa (Czyt. str. 8)
Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

— Zalicza się Panią do pionierów seksualnego wychowania młodzieży. Do dziś wielu ludzi uważa go za tabu. Świadczą o tym wrzawa wokół podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie”. Jakże są Pani spostrzeżenia w tym względzie?

— Rzeczywiście erotyczne zainteresowania młodzieży były u nas dość długo

ta młodzież była bardziej podatna na propozycje dorosłych. Dziś więcej wie o świecie, o życiu, chce być bardziej samodzielną.

— Jestem przekonana, że energia, którą człowiek posiada, może być konstruktywna i destruktywna. Zresztą jest to stanowisko psychoanalityków, którzy mówią, że cała twórczość artystyczna

skokowym. Młodzież dąży do autonomii, do wyzwolenia się spod supremacji rodziców.

Dążność do samostanowienia dotyczy również seksu. Wybór należy do młodzieży, ale chodzi o to, by był uwarunkowany wystarczającą ilością informacji. „Przysposobienie do życia w rodzinie” powinno być również zachętą do samopoznania, do świadomego kształtowania swoich zachowań, kształtowania woli i potrzeby powściągliwości.

— O znaczeniu kształtowania pozytywnych cech woli i charakteru pisała Pani w swojej opinii (przygotowanej na prośbę Ministerstwa Edukacji Narodowej — przyp. L.G.) na temat czasowo wyczerpanego podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie”. Czy nie sądzi Pani, że takie pojęcia jak silna wola, honor, romantyczna miłość dziś tracą nieco myślnik, że trudno trafić z nimi do młodzieży?

— Są to wartości często dziś zapomniane, ale przecież nie obalone. Do lat 50-tych w psychologii wiele miejsca poświęcano woli, mówiąc, że jest ona kręgosłupem charakteru, bo nawet najwspanialsze przekonania nie będą realizowane w przypadku słabości woli. Inspirowano młodzież do podejmowania ćwiczeń woli. Później zwrócono uwagę na to, że trudno jest określić czy ma się silną, czy słabą wolę, bo jej przejawienie zależy od motywacji systemu wartości. Jak człowiek wyznaje, od tego, jakie potrzeby aktualnie realizuje.

Kształtowanie woli, indywidualna praca z wychowankiem to rzecz niezmiernie trudna. Tylko nieliczni pedagodzy usiłowali to robić. Postuluję jednak powrót do inspiracji wychowawczej w kształtowaniu woli.

W okresie dorastania człowiek patrzy krytycznie nie tylko na otoczenie, ale także na własną osobę. Potrafi być bardzo surowy wobec siebie. Jest to optymalny okres do wyrabiania cech woli. Czy zauważyła pani, że w przedmiocie „przysposobienie do życia w rodzinie” są zajęcia poświęcone samopoznaniu i ustaleniu obrazu własnej osoby? Młodzież często ze względu na labilność emocyjną bywa niezadowolona z siebie, popada w pesymizm, co niekiedy wymaga interwencji wychowawczej, by chronić przed kompleksami i wzmacniać poczucie mocy.

Program stwarza zachętę do pracy nad sobą. I wcale nie trzeba stosować jakichś wymyślnych tortur czy ćwiczeń, bo samo życie daje okazje wychowawcze. Na przykład umiejętność wywiązywania się z obowiązków też wymaga woli. Dla celów wychowania seksualnego.

Rewirj edukacji

Trafić w złoty środek

Z PSYCHOLOGIEM DOC. DR STANISŁAWĄ ŁAPKOWSKĄ-WACOWSKĄ Z WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ W ZIELONEJ GÓRZE ROZMAWIA LUCYNA GRABOWSKA

porównanie milczeniem. A młodzież dawniej mówiła i dzisiaj także mówi: uczyliście nas różnych rzeczy, ale nie uczyliście, jak żyć. Widząc — jeszcze jako wychowawczyni — jak bardzo te sprawy absorbują młodzież, starałam się z nią rozmawiać. Kiedyś takie rozmowy nie były powszechne. Zaproponowałam coś w rodzaju skrzynki pytań. Uczniowie nie od razu uwierzyli, że rzeczywiście odpowiem na wszystko. Zadawali pytania niekiedy prowokujące i sztuka było nie zarumienić się — zachować spokój, rzeczowy ton. Na przykład: „jak długo ma trwać stosunek płciowy”? Zaproponowałam modyfikację pytania: najpierw zastanówmy się, o czym powinniśmy wiedzieć dziewczyna i chłopak decydujący się na ten krok? Dalsza rozmowa potoczyła się dość wartko. Młodzież przekonała się, że nie co ludzkie nie jest nam obce.

Z moich doświadczeń wynika, że nie można stosować wobec młodzieży blokady jej potrzeb. Powinniśmy tylko te potrzeby kanalizować w pożądanym wychowawczym kierunku.

Przed laty w liceum pedagogicznym w Sulechowie podniesiono gwałt, że uczennice chodzą do nowej kawiarni w mieście. Stykają się tam z różnymi osobami, a to nie przystoi licealistkom. Za proponowałam utworzenie kawiarenki w szkole, uważając że w ten właśnie sposób będzie można spełnić potrzeby uczniów i jednocześnie realizować zadania wychowawcze. I tak się stało. W niedzielne sąsiadka jadłalnia zamieniła się w kawiarnię.

— Wydaje mi się, że dawniej o wiele łatwiej było — jak Pani mówi — skanalizowanie potrzeb młodzieży. Tam-

berze się z libido-niezaspokojonego popędu seksualnego. Może to nie jest absolutna prawda, ale do pewnego stopnia tak jest. Więc zawsze ważna jest pełnia życia młodzieży, rozwijanie ich szerokiego zainteresowań.

Do pytania podejść z nieco innej strony. Nauczyciel operuje słowem i wywołuje mu się, że wiele może zdziałać. Tymczasem słowo jest najsłabszą metodą. Najwięcej działa atmosfera wychowawcza, rodzina, w której człowiek się rozwijał i którą głęboko nasyca. Młodzi, choć mają dziś na ogół wykształcenie wyższe niż ich rodzice, w pełnieniu roli męża i żony, często w sposób bezrefleksyjny odtwarzają zachowania swoich rodziców. Postawy młodych ludzi wobec seksu są niejako sumą ich doświadczeń wyniesionych z wychowania w domu rodzinnym.

— Jeśli tak, to trzeba młodzież uczyć innych wzorów, uczyć ją owej refleksji. Tymczasem przedmiot „przysposobienie do życia w rodzinie” jest atakowany, kwestionuje się jego potrzebę.

— Przedmiot jest bardzo potrzebny. Z jednej strony wskazuje na to zainteresowanie młodzieży. Z drugiej — musimy uświadomić sobie, że w okresie młodzieńszym człowiek jest jakby postawiony przed trybunałem rozumu. Chce zrewidować wszystkie znane mu dotychczas poglądy wyrażane przez osoby znaczące. W tym wieku walą się autorytety dorosłych, rodziców. Młodzież z przedmiotu chce stać się podmiotem wychowania. To ona sama chce kształtować swoje plany życiowe.

Jest to także okres rewizji poglądów: dotychczas zmiany postępowały powoli, teraz odbywają się w tempie

ciąg dalszy na str. 5

DYPLOMATY Z BOŻEJ ŁASKI

ciąg dalszy ze str. 3

wito się dwóch mieszkańców warszawskiego przedmieścia, których owo dwa Żydzi wzięli za bandytów. Jeden Żyd mówi do drugiego: Uciekajmy, bo ich jest dwóch, a my jesteśmy sami. Mnie się zdaje ekscelencjo, że zachowanie się państwa Osi jest podobne do zachowania się tych dwóch Żydów. Mussolini popatrzył na Wieniawę nierozumiejącymi oczami, kwaśno się uśmiechnął i odszedł. O dziwo, incydent ten jeszcze bardziej zwiększył popularność polskiego ambasadora, a jeden z najwyższych dostojników faszystowskich, Farinacci, powiedział mu, „Na drugi raz ekscelencjo, proszę opowiadać tego rodzaju dowcipy nam faszystom, a nie Mussoliniemu. On i tak nie rozumie”.

Osobnym rozdziałem kontaktów Wieniawy z Włochami była zażyta przyjaźń łącząca go z włoskim ministrem spraw zagranicznych i zięciem Duce hr. Galeazzo Ciano, a estyma i szacunek, jakimi darzył Ciano Wieniawę, budziły nawet niekiedy zdziwienie u zagranicznych obserwatorów. Lecz kiedy Ciano po kampanii wrześniowej wygłosił przemówienie w senacie i tłumaczył szybki upadek Rzeczypospolitej okolicznościami, że państwo nasze zamieszkiwane było jedynie przez 16 milionów rdzennych Polaków, a resztę stanowić miały mniejszości, Wieniawa powiedział: „Jest pan gorszy od Hitlera, bo wymordował pan w jednym zdaniu 9 milionów moich rodaków”.



Wieniawa (pierwszy od prawej) w czasie wizyty oficjalnej w Kwirynale

Te dobre stosunki Wieniawy z dygnitarzami włoskimi zaowocowały po klęsce wrześniowej. Otóż kiedy po krótkotrwałym pobycie w Paryżu we wrześniu 1939 roku i epizodzie z objęciem urzędu prezydenta, Wieniawa powrócił do Rzymu i całą swą energię włożył w nowe, bardzo ważne przedsięwzięcie. Chodziło o zorganizowanie przerzutu żołnierzy polskich, którzy po upadku Polski przez Bałkany i Włochy przedostawali się do Francji. Taki szlak przerzutowy funkcjonował przez pół roku w dużym stopniu dzięki staraniom i znajomościom Wieniawy. Doszło nawet do tego, że Włosi przewozili żołnierzy polskich, często na kredyt, ubranych po cywilnemu jako robotników, którzy pod naporem wojsk niemieckich przeszli granicę Rumunii i Węgier. Z możliwości tej skorzystało wiele tysięcy żołnierzy polskich.

Podsumowując dotychczasowe rozważania stwierdzić można, że Wieniawa z pewnością nie był dyplomatą z zamiłowaniem. Kiedy w sierpniu 1939 roku wyjeżdżał do kraju na zjazd legionistów, zapowiedział w ambasadzie, że do Rzymu prawdopodobnie nie wróci — „obejmę swoją dywizję” — mówił. Nie miał także cech zawodowego dyplomaty, choć w opinii Józefa Becka wywiązywał się z obowiązków ambasadora dobrze.

Wydało się również, że przeróżne międzynarodowe znajomości Wieniawy i jego dyplomatyczny talent nie zostały należycie wykorzystane tak przez Becka, jak i później, przez rząd gen. Sikorskiego. Powierzenie mu trzecioplanowego stanowiska ambasadora na Kubie było, używając słynnego powiedzenia Talleyranda, czymś gorszym niż zbrodnia, było błądem. Tym wyraźniejszym, że zalety Wieniawy jako ambasadora dostrzegali m. in. inni jego zagraniczni przyjaciele. Już po tragicznej, samobójczej śmierci gen. Wieniawy-Długoszowskiego w 1942 roku, w wychodzącym w Szkoci „Dzienniku Żołnierza” ukazały się następujące słowa dowódcy sił sprzymierzonych na Pacyfiku gen. Douglasa Mac Artura: „(...) Zmarły był moim przyjacielem osobistym. Jestem pograżony w głębokim żalu. Dusza zmarłego opuściła ciało, by połączyć się z Bogiem i ukochanym Marszałkiem Piłsudskim. Bezgranicznie wysiłki, położone przez zmarłego dla sprawy Ojczyzny, nie będą daremne: Bóg nie dopuści, by wysiłki jego i jego podobnych spęły na niczym. Polska zamartwychwstanie!”

Co jednak pozostał Wieniawa po sobie prócz legend, wierszy, wspomnień, a negdot? Myślę, że została po nim piękna idea. Siostrzeniec generała, rotnistrz dr Adam Michalewski wspomina, że kiedy w 1940 roku rozmawiał w Rzymie ze swym wujem, ten twierdził, iż w tak trudnej chwili należy zapomnieć o wcześniejszych animozjach, podziach i wszyscy Polacy powinni popierać rząd generała Sikorskiego. A przecież mówił to człowiek, który uważany był wtedy za głównego kontynuatora myśli politycznej Józefa Piłsudskiego. Lecz wszyscy ci, którzy zarzucali mu zdradę idei „omendanta i sprzymierzenie się z jego wrogiem, poprzez bezkompromisową nagonkę doprowadzili go do tragicznej śmierci, nie rozumiejąc w swym zaślepieniu, że Wieniawa, zrobił dokładnie to samo, co dwadzieścia lat wcześniej Piłsudski. Przecież i on, zarówno w latach pierwszej wojny światowej jak i tuż po jej zakończeniu, wyciągnął rękę do swego największego wroga — endecji — czyniąc to dla dobra kraju. Ta idea zgody między Polakami w chwilach trudnych, postawiona nam przez Wieniawę, nabiera w dzisiejszych czasach szczególnej wymowy i warto chyba o tym pamiętać.

WITOLD DWORZYŃSKI

PS od redakcji: interesującym dodatkiem do tej historii jest fakt, że w Zielonej Górze żyje i mieszka bratanek generała p. Leszek Wieniawa-Długoszowski wraz ze swą małżonką Barbarą.

Czerwone kaski

ciąg dalszy ze str. 3

językach. Dziś, za pośrednictwem „Modernu” są na Syberii.

— Po co tu przyjechałeś? — Aby się dorobić. — Na typowe pytanie, pada typowa męska odpowiedź. Jednak, gdy się szuka prawdy głębszej, to okazuje się wtedy, że motorem ich działania jest również ciekawość świata, chęć poznania. I to w warunkach intensywnie prowadzonej budowy, trózmianowości, braku czasu wolnego, trudne jest do zaspokojenia.

— Nie przyjechalibyście tutaj w celach turystycznych. Macie pracować. — Takie racje wyklada kierownik budowy rozliczany z jej postępów. I budowa idzie. Ludzie tylko pracują. Czasem biorą wędkę w garść, idą nad Ob, lub jadą metrem na jeziora w innej części miasta. Przywożą z tych wypraw trzy cztery, wymiarowe płoteczki. Bo te najbliższe wody są rabunkowo eksploatowane przez tysiące wędkarzy łowiących na wszelkie wymyślone przez ludzi sposoby. Jesiotra i kilka innych gatunków rybo nie mających polskiej nazwy poznali z półmiska. Sterleta widzieli w stoju z formaliną. Niedźwiedzia widzieli w klatce. Skórę innego misia, jako ozdobę oglądali na stoisku z wyrobami garmażeryjnymi. Tajga, która w Nowosibirsku jest w zasięgu ręki, inaczej — w zasięgu jadącego przez dwie godziny autobusu, jest równie odległa jak z Zielonej Góry. Tajga jest romantycznym mitem literackim. Pozostaje półtoramilionowe miasto poznawane na własną rękę.

W przedmiotowym traktowaniu człowieka, wymuszonym przez sytuację ekonomiczno-techniczną, podnoszenie tylko jednego warunku — „pracujesz — masz pieniądze” stanowi pewne niebezpieczeństwo.

WŁAŚCIWIE, CO TO JEST BUDOWA?

Jest to przedsięwzięcie polegające na organizacji przestrzeni w czasie, za pomocą ludzi, urządzeń technicznych, materiałów. Być może specjaliści mają inne od reportera, pełniejsze definicje. Ktoś inny powie, że budowa — jakakolwiek,

w połowie składa się z transportu. Też będzie to jakaś racja. Z inżynierskiego punktu widzenia budowa pochłania beton, stal, keramzyt, energię, dziesiątki materiałów będących pochodną działania różnych przemysłów. Technologia monolitu sama jest działalnością przemysłową. Elementów manufaktury jest w niej mało. Z perspektywy humanistycznej — to inwestowanie w budowę ludzkiego czasu, jego energii i możliwości twórczych.

— My budowlancy, jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, ale ulepionymi ze specjalnego gatunku gliny, tak określa się kolega z siedemnastego piętra. Pręży pierś, choć na order nie liczy. — Jestem twardy, dodaje. I jego twardość poświadczona została jeszcze w kraju, dość dokładnymi badaniami lekarskimi. Zbadano mu serce, płuca, nerki. Badań psychologicznych, reakcji na oddalenie od rodziny, na umiejętność życia w surowych warunkach, na umiejętność współżycia w zespole ludzkim tego w kraju się nie robi. Ten specjalny rodzaj gliny, nawet w najgorszym — na miarę możliwości, organizowanych warunkach, też może tracić swoje wysokie parametry. Nikt nie jest ubezpieczony od zła.

Wiem co to jest budowa? Beton. Stal. — Masz kłopoty, problemy? — Ja? Skądże! Czuję się świetnie.

RYSZARD ROWIŃSKI

PRZELEĆ MNIE CZARNY PTAKU...

ciąg dalszy ze str. 3

i zamykają się we własnych kregach. Odbija się to m.in. na interesach tradycyjnych przybytków rozkozy.

— W mojej branży panuje bezrobocie — narzeka na łamach tygodnika „Quick” 31-letnia, rudowłosa Yvonne, z pochodzenia Francuzka. Do Berlina Zachodniego przyjechała z Monachium przed pięcioma laty. Pracuje w pufie, którego właścicielem jest młodzieńki, bogaty Turcy. Oprócz niej zatrudnia dwie Tajlandki i... piętnaście Polek.

— Ile kosztuje godzina przyjemności? — pyta dziennikarz „Quicka”.

— U nas, na Neukoln od 15 do 20 marek, gdzie indziej może mniej — odpowiada Yvonne. — Jeszcze przed rokiem taksa wynosiła 50 marek. Wszystko drożeje, a seks potaniał. Mimo to trudno o klienta. Wszyscy boją się AIDS.

Strach przed zarażeniem się AIDS przybiera na sile, w miarę, jak przybywa chorych. Nie wynaleziono dotychczas ani szczepionki przeciwko wirusowi, ani leku, który by skutecznie hamował rozwój tej strasznej choroby.

Na bramach, ścianach, oknach ludzie znajdują plakaty, w swoich skrynkach na listy broszury i ulotki. Niemal w każdym miejscu publicznym można prze czytać coś o AIDS. Jednak ta profilaktyczna kuracja wstrząsowa, choć bardzo kosztowna, nie wpłynęła zasadniczo na zmniejszenie liczby zachorowań. Tyle tylko, że nie ma chyba człowieka w Berlinie Zachodnim, który by nie uświadał sobie, że za kilka chwil rozkozy może zapłacić poważną śmiertelnością.

Skutek więc tego ładowania w społeczeństwo informacji i ostrzeżeń jest taki, że gwałtownie zmalało zapotrzebowanie na „sex-akcję”. Za to rozwija się zainteresowanie „safer-sex” czyli seksem bez stosunku.

Wypowiadają się na ten temat, z aprobatą — szczerze czy nie, ale to już ich sprawa, ludzie ze środowisk twórczych i naukowych, o znanych nazwiskach, niekiedy będące autorytetami w różnych dziedzinach.

Przyszła wspaniała hossa dla przemysłu porno. Wszak bezpiecznie jest zobaczyć „akcję” na scenie bądź ekranie, niż angażować się, że tak powiem, cielesnie... Toteż każdy lokal nocny wpro wadził do programu żywe scenki porno, a erotyka w teatrach, już dotychczas dość śmiała, obecnie wyraża dosłownie wszystko.

Zacierają ręce potentaci branży porno, jak Niemka Beate Uhse czy nasza rodaczka z Debicy Teresa Orłowski. Roś nie konto bankowe Russa Meyera, z czego z tego, że do swych filmów angażuje „gwiazdy” o nieprawdopodobnie wielkich biustach.

Nasz ruch, to nie tylko seks, to także poezja i filozofia — twierdzą lesbijki, wskazując na swą starożytną patronkę Saffone.

Wykształceni homoseksualiści mówią to samo, powołując się na Szekspira i innych Wielkich, na Sokratesa, a przede wszystkim na Platona. To właśnie Platon w swej słynnej „Uczcie” powiedział, że „pederastia nie jest czymś nienaturalnym i bezwstydnym”. Bo czyż nie naturalnym i bezwstydnym być może „kochanie tego, co do nas samych jest podobne”?

O potrzebie współżycia różnych wzorów miłości między ludźmi, przy pełnej akceptacji i tolerancji społecznej, mówiono m.in. podczas zgromadzenia, które odbyło się parę miesięcy temu w auli Berliner Fachschule für Wirschaft. Jak to określił wychodzący z Monachium miesięcznik „Wiener”, na spotkanie przybyli mężczyźni nowej generacji.

Było na co popatrzeć. Pieszo, metrem lub na rowerach przybyli „oko”, czyli przyjaciele naturalnego środowiska, z

brodkami o charakterystycznych kształtach i koniecznie w swetrach zrobionych ręcznie na drutach lub szydełkiem. Niemal każdy „oko” nosi w kieszeni legitymację partii „zielonych”.

Obok nich zasiedli eleganci i wystylizowani „yuppies”, przeważnie młodzi i zamożni, ubrani w kaszmiry i jedwabie, pachnący i gładko ogoleni. „Yuppies” mają zawsze dobre zawody i dochodowe geschefty. Używają najdroższych perfum, jeżdżą nowoczesnymi kabrioletami i niczego nie kupują w domach towarowych. Spotykają się w swych gronach nie wieczorami, lecz rano, na „schampagner-Frühstück” czyli szampańskich śniadaniach.

Przyszły też „przeciętne figury” w dżinsach, sztruksach i znoszonych trampkach, ale wykształcone, pracujące zawodowo i jednym słowem — urzędzone, bo takim warunkom przede wszystkim musi odpowiadać mężczyzna nowej generacji.

Zjawili się też niedobitki punków, obwieszono metalami, z włosami poprzepiętymi miłajkiem, brudne i zakurzone. Homo i hetero, po raz pierwszy razem, bez niechęci i uprzedzeń, spotkali się, aby omówić wspólny problem: męczyzna w łóżku.

Sprawa jest poważna. Co trzeci męczyzna w RFN jest impotentem. Co dzie się laty pederasta? Co czwartego ucieka we wstrzemięźliwość. Od kogo, względnie czego ucieka? Od kobiety. Nowoczesnej, niezależnej, władczej. Silnej.

Kobieta silna pracuje, zarabia, opłaca wujkę męskie profesje, jeździ motocyklem, zna karate. Rodzi dzieci. Brakuje tylko, aby je sama płodziła. Choć i to już, w pewnym sensie staje się faktem...

Męskie zgromadzenie homo i hetero jednogłośnie uznaje własną dyskryminację. Uważa, że zwycięski marsz kobiet strąca mężczyzn do roli podrzędnej. Co robić?

Zapada postanowienie, by wyrazić de zapobiegę przez... publiczne zademonstrowanie atrybutów męskości, nie ukrywając twarzy, nazwisk i miejsc zamieszkania.

W ten sposób czytelnicy miesięczników „Wiener” i „Tempo” zobaczyli w całej okazałości przedstawicieli nowej generacji, stojących przodem do kamery i trzymających w garści spodnie. Oto my! Mężczyźni! Jesteśmy! Istniejemy! Mamy coś do powiedzenia!

Rene Radical, lat 33, artysta muzyki: — Nie myślę o moim fallusie. Miniatur

kę jego noszę na szyi na srebrnym łańcuszku. Moje najbliższe przyjaciółki, to lesbijki. Może z którąś z nich w końcu się ożenię? Dla mnie „starke frau” nie jest problemem.

Roland Wünche, lat 33, rzemieślnik artystyczny: — To całe sex-zamieszanie powoduje, że człowiek staje przed wyborem: albo penis, albo mózg. Stanowczo wybieram to drugie.

Peter Riedl, lat 29, menager: — Przyznaję, że obawiam się silnych kobiet. Mimo to zadaje się z nimi, aby się nie rzyć, bo jestem silnym mężczyzną. Swój męskość ukształtowałem na takich osobowościach, jak np. Mick Jagger.

Norbert Fritz, lat 34, asystent reżysera filmowego: — Walka między płciami niszczy każdy związek. Społeczeństwo powinno szybko coś zaradzić. To jest alarm. Zagrożona jest rodzina.

Kurt Elsigan, lat 30, spawacz elektryczny: — Gdy widzę kobietę w spodniach, mam ochotę ściągnąć moje.

Josef Mayer, lat 35, chemik: — Silna kobieta mnie pociąga. Lubię jej ulegać. Jestem przy niej mały i bezpечny, jak dziecko przy matczynej piersi. To rozkoszne uczucie.

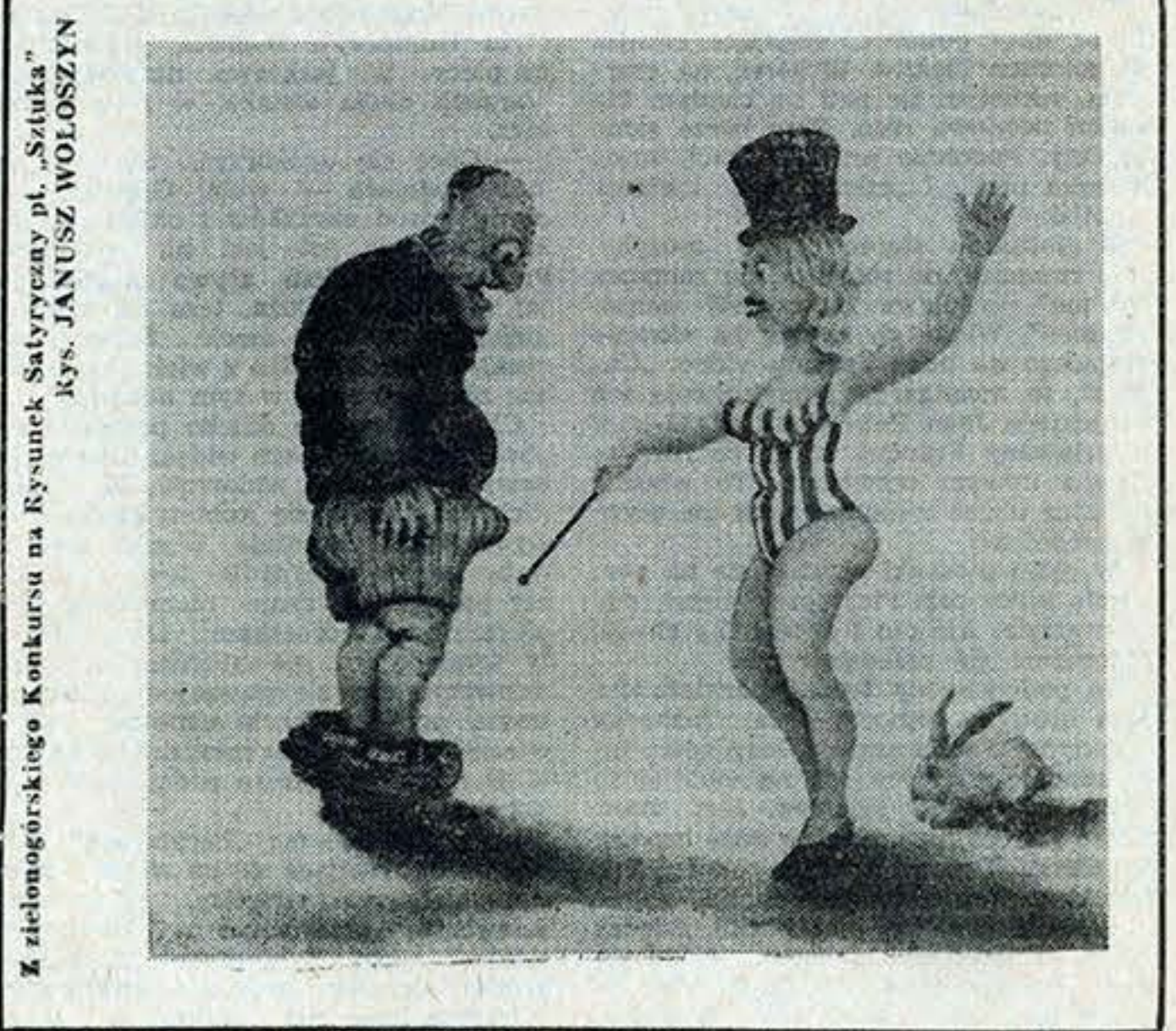
Peter Chiess, lat 27, dziennikarz: — Wielu chłopców nosi w sobie kompleksy matek. To nas osłabia. Co do mnie, trzymam się „no sex”.

Andre Alexandre Breton, lat 17 i je go przyjacieli Christian Unterwadtzer, lat 20, obaj bezrobotni: — Kobieta była uciskana przez stulecia. Teraz przyszła kolej na mężczyzn. Chocbyśmy mówili sobie „jesteśmy macho”, jednak nie jesteśmy tacy. One są górą. Boimy się ich.

Thomas Reyss, lat 27, student szkoły aktorskiej: — Ale przecież wciąż pozostaje niejasna sprawa podstawowa. Jakiego mężczyzny szuka współczesna „starke frau”? Silnego jak ona, czy silnego, nieśmiałego i pełnego wątpliwości? Powietrze, woda, ziemia — już nie ta, jak dawniej. Anormalne stają się klimaty i pory roku. Odwieczne prawa przyrody naruszają cywilizacja. W tym ulegającym przemianom otoczeniu, zmieniają się ustalone przed wiekami porządki, systemy, wartości, obyczaje, idee. Jedne się starzeją, inne degenerują. Homo sapiens, ścigany ambicjami, goniony przez stresy, lęki i zagrożenia — tak że w sferach najbardziej intymnych, rozpaczliwie poszukuje nowych dróg.

A więc nie tylko kalendarze zapowiadają schyłek naszej epoki...

HALINA ANSKA



Wystawa „Wino na stołach polskich” cieszyła się niemalym zainteresowaniem zielonogórzan i gości Winobrania. Prawie mówiąc, była to pierwsza starannie i nowoczesnie przygotowana ekspozycja w Muzeum Ziemi Lubuskiej. W no wych, fantazyjnie oświetlonych gablotach, jak na bogatych stołach polskiej szlachty, stały nie tylko butelki, dzbanki, kubki, kielichy, puchary, lecz i inne przedmioty od lat gromadzone w dziale winiarskim muzeum. Wśród nich był srebrny świecznik trójramienny, wykonany w XIX wieku Kamila Marchelek, pracownik merytoryczny muzeum, współtwórca wystawy zapamiętała, że miał on na stopie ozdoby w postaci winnych gron. Po zakończeniu wystawy, w roku 1978 lub 1979, świecznik wraz z innymi eksponatami przeniesiono do magazynu działu winiarskiego, który znajdował się w tym samym pomieszczeniu, co magazyn działu historycznego.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych została określona i natychmiast częściowo zrealizowana koncepcja rozwoju muzealnictwa lubuskiego. Jesienią 1978 r. Stanisław Ostrega, prezydent Zielonej Góry, powziął decyzję o utworzeniu Muzeum Historii Miasta. Prezydent wskazał zabytkowy budynek nieopodal filharmonii i wyraził życzenie, by muzeum powstało jak najszybciej, najlepiej na 40-lecie powrotu Zielonej Góry do Macierzy. Potem okazało się, że termin otwarcia placówki trzeba odłożyć o co najmniej dziesięć lat. Zdaniem optymistów, uroczyste przecięcie wstęgi nastąpi w czasie obchodów złotych godów Zielonej Góry. Do tego czasu dr Stanisław Kowalski, od kilku tygodni nowy kierownik powstającego muzeum, zgromadził tyle pamiątek przeszłości, że będzie nie tylko co oglądać, lecz i o czym mówić. Jest pewne, iż do wyremontowanego budynku Muzeum Historii Miasta trafią przede wszystkim przedmioty znajdujące się obecnie w działach winiarskim i historycznym Muzeum Ziemi Lubuskiej.

W 1982 r. kierowniczką działu winiarskiego została Zdzisława Kraśko, to znaczy kierowała działem nie ponosząc odpowiedzialności materialnej za przedmioty przekazane pod jej nadzór. „Przejmując dział nie mogłam stwierdzić, abym była zorientowana co do zbiorów, jakie posiadam” — zeznała przed sądem. — „Udało mi się uzyskać księgę inwentarzową, po jakimś czasie także karty, chociaż [Janusz K., kierownik działu historycznego] niechętnie mi je udostępnił (...). Do 1984 r. nie mogłam stwierdzić, czy obiekty należące do mego działu są zgodne z zapisami w księdze inwentarzowej. Z chwilą przejęcia działu prowadziłam tę księgę, a także na bieżąco zakładałam karty katalogowe na zakupione przeze mnie obiekty (...). Korzystałam z magazynu wtedy, kiedy był obecny ktoś z pracowników działu historycznego, bo swego klucza do magazynu nie miałam”.

1 lutego 1984 r. Janusz K. został wicedyrektorem Muzeum Ziemi Lubuskiej do spraw administracyjnych, pozostając nadal kierownikiem działu historycznego. Dopiero wtedy Z. Kraśko podpisała oświadczenie o odpowiedzialności materialnej za przedmioty znajdujące się w dziale winiarskim. „Do tej pory (...) moja praca jako kierownika działu była utrudniona”.

W lipcu 1984 r. Z. Kraśko poszła na urlop macierzyński. Zaraz po jej wyjściu dyrektor polecił murarzowi, by we wspólnym magazynie działów historycznego i winiarskiego zbudował ściankę działową. Pracę murarza zawsze obserwował ktoś z pracowników muzeum. Podziału i przemieszczenia zabytków do konał Robert Korneluk, zatrudniony w Zielonej Górze w grudniu 1983 r. i, jak

to sfałsz. Poświadczył to L. Dziełyc mówiąc, że „(...) nie było tajemnicą, gdzie klucze od magazynu są przechowywane”.

Już w styczniu 1985 r. Z. Kraśko po wróceniu do pracy z urlopu i postanowiła uporządkować zbiory działu. Wraz z L. Dziełycem przeprowadziła skontrolny, aby przed planowaną inwentaryzacją na koniec roku zorientować się co do zbiorów. W marcu tego roku wiedzia-

wy, nie zawierała ani opisu przedmiotu, ani też rysunku czy fotografii. Dokładniejszego opisu nie było również w księdze inwentarza muzeum. Do mającej się odbyć inwentaryzacji w dziale historycznym nie doszło, nikt też nie spytał, gdzie jest przechowywany świecznik.

A jesienią 1986 r. komisja inwentaryzacyjna stwierdziła, że w zbiorach muzealnych brakuje wielu bardzo cennych i rzadkich przedmiotów, między innymi broni palnej i białej, starodruków, naczyń, zegarków złotych i pozłacanych, ikony. Po przeprowadzeniu jeszcze jednej inwentaryzacji w dziale historycznym, dyrekcja muzeum skontaktowała się z organami ścigania. W sierpniu 1987 r. Prokuratura Wojewódzka skierowała do Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze akt oskarżenia, w którym stwierdza, że Janusz K. zagarnął z kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej przedmioty wartości 1,39 mln złotych, w tym srebrny świecznik trójramienny, oraz nie dopełnił obowiązku zabezpieczenia mienia muzeum przed kradzieżą.

Janusz K. nie przyznał się do winy. Składając wyjaśnienia powiedział, że świecznik trójramienny kupił od swoje go ojca za 40 tysięcy złotych w 1982 lub 1983 r. „Stanowił on własność mego ojca”. Poproszony przez sąd o potwierdzenie tego faktu, ojciec Janusza K. skorzystał z przysługującego mu prawa odmowy zeznań. Zapytany Janusz K. o to, czy wie, o którym świeczniku mowa, odrzekł: „Świecznik z muzeum wi działem na pewno w trakcie wystawy „Wino na stołach polskich”. Świecznik ten należał do działu winiarskiego”. Po twierdzeniu, że w śledztwie pokazano mu zdjęcie świecznika zaginionego w muzeum, „Jest on bardzo podobny do mego pod względem wielkości, formy, natomiast różni się zdobieniami” — powiedział sądowi — „Świecznik muzealny jest bardziej ozdobny, ma więcej elementów ornamentacyjnych od tego, który ja kupiłem”. Dodał, że nosił się z zamiarem sprzedaży świecznika do muzeum zielonogórskiego i prawdopodobnie pokazał go K. Marchelek. „Ale nie wiem, czy zięrzyłem się jej z tego zamiaru” — powiedział. K. Marchelek nie potwierdził żadnego z tych faktów.

Bogdan J. Kres, antykwariusz w zielonogórskiej Desie, pamięta, że w 1984 r. przyszedł do niego Janusz K., pokazał srebrny świecznik i spytał go, jaką ów przedmiot ma wartość. Janusz K. nie zamierzał sprzedawać świecznika za pośrednictwem Desy, choć w tym przypadku byłoby to najkorzystniejsze dla wszystkich stron. „Określiłem jego wartość na 100 tysięcy złotych, ale bliższego szacunku nie dokonywałem, skoro nie miał on trafić do Desy” — wyjaśnił sądowi B. J. Kres.

Marka Masłowskiego, właściciela sklepu przy cmentarzu komunalnym w Zielonej Górze, Janusz K. poznał za pośrednictwem Zdzisławy Kraśko w Dziwnowie na wczasach. Zeznał przed sądem M. Masłowski powiedział: „(...) przyszedł do mnie do sklepu (...) i miał ze sobą świecznik, który zaoferował mi do sprzedaży. Nie mówił, skąd go ma. Zaproponowałem cenę 100 tysięcy złotych i powiedział, że jest to cena korzystna.”

Janusz K. potwierdzając ten fakt utrzymuje, że było to latem 1984 r. „(...) 50 tysięcy dał mi wtedy, a ja powiedziałem, że mój udział będzie wynosił pozostałe 50 tysięcy, które wypłaci, jeżeli go korzystnie sprzeda” — dodał Janusz K.

Wrocławską Desę wyceniła świecznik na 157 tysięcy złotych. Ponieważ ta wycena nie dotyczyła wagi kruszcu, M. Masłowski poprosił B. J. Kresa z Desy zielonogórskiej o zważenie przedmiotu. Świecznik ważył 700 gram.

Zaprzysiężona z Z. Kraśko żona M. Masłowskiego poinformowała ją, że (Janusz K.) sprzedał świecznik. „Bliżej tym się nie interesowałam. Chyba w 1985 r. gdy byłam u Masłowskich, widziałam, że stoi na półce świecznik trójramienny. Zwrócił on moją uwagę, bo był ładny. Spytałam Mariolę Masłowską, czy to ten. Ona potwierdziła” — powiedziała Z. Kraśko. Ale z Januszem K. na ten temat nigdy nie rozmawiała.

Maciej Cichacz, snycerz, zeznał przed sądem, że M. Masłowski poprosił go o pośredniczenie w sprzedaży świecznika srebrnego. M. Cichacz nawiązał kontakt z kolejnym pośrednikiem, a ten umożliwił go z nabywcą. „Masłowski dał mi me przekraczającą 100 tysięcy złotych, nabywca się na to nie zgodził i w rezultacie za zgodą Masłowskiego sprzedalem świecznik za około 100 tysięcy złotych, dokładnie nie pamiętam” — zeznał M. Cichacz.

Ostatni właściciel świecznika trójramiennego, wykonanego ze srebra w XIX wieku, już nie żyje. Nikt nie jest w stanie wskazać miejsca, w którym ten przedmiot się znajduje. Czy był to na pewno świecznik wykradzony z kolekcji działu winiarskiego Muzeum Ziemi Lubuskiej? Na to pytanie, wielokrotnie zadawane przez sąd, nikt nie potrafił odpowiedzieć. Gdyby w dokumentach muzealnych znajdowało się zdjęcie świecznika, sprawę udało by się załatwić. Sąd okazywał świadkom fotografie zaginionego świecznika, wykonana wtedy, kiedy był on prezentowany na wystawie „Wino na stołach polskich”. M. Cichacz: „Miałem ten świecznik w ręku około 30 minut. (...) Po okazaniu mi zdjęcia na podstawie charakterystycznej budowy jego podstawy i kolumny, stwierdzam, że jest taki sam, jaki miałem w ręku. (...) Myślę, że z uwagi na swój zawód potrafię zapamiętać formy tego typu przedmiotów”. Z. Kraśko: „Po pokazaniu mi przez K. Marchelek zdjęcia stwierdzam, że widziałem taki świecznik i u kogo. Było to moje rozpoznawanie wzrokowe, bo miał on taki sam kształt i rodzaj kolumny. To rozpoznawanie było takie, na jakie pozwalało zdjęcie. (...) Podobieństwo świeczników do tych także talarzyków na świecę — ozdobnymi, krzywymi kolumnami. (...) Mam już wyrobioną pamięć zawodu, wychowałem się wśród podobnych „staroci”, toteż do dziś jestem pewna, że świeczniki ze zdjęcia i u Masłowskich były identyczne.”

Po wysłuchaniu świadków i zapoznaniu się z dokumentami, sąd stwierdził, że nie otrzymał odpowiedzi na pytanie: czy jest to na pewno ten sam świecznik, czy też taki sam. Biorąc to pod uwagę, Sąd Wojewódzki nie uznał Janusza K. winnym zagarnięcia świecznika ze zbiorów działu winiarskiego muzeum.

ALFRED SIATECKI

Co się wydarzyło w muzeum

ŚWIECZNIK

Tak wygląda świecznik, który został ukradziony z muzeum. Zdjęcie zostało wykonane podczas wystawy „Wino na stołach polskich”.



sam przyznał, niezbyt zorientowany w tym, co należy do którego działu. Sądowi powiedział: „Przenosiłem to, co znajdowało się w szafach i co według mnie ewidentnie należało do działu winiarskiego. Nie posługiwałem się przy tym żadną dokumentacją. (...) Świecznika nie przenosiłem, nie widziałem go też w pomieszczeniach działu winiarskiego i historycznego”. We wrześniu 1984 r. w dziale winiarskim rozpoczął pracę Longin Dziełyc. „Do zbiorów miałem do step dopiero po powrocie do pracy z urlopu wychowawczego pani Zdzisławy Kraśko” — zeznał przed sądem. Zaś R. Korneluk stwierdził: „Po przeniesieniu działu winiarskiego, do powrotu Z. Kraśko, klucze od pomieszczeń działu winiarskiego ja miałem na biurku lub

ła, jakie przedmioty należały do działu winiarskiego. Czy były to akurat te, a nie inne, podobne, tego nie mogłam stwierdzić. Przed przejęciem na urlop widziałam w dziale karty katalogowe, że raz nie było ich. Niektóre dokumenty przeniosła do działu historycznego, inne pozostały w dziale winiarskim. Kiedy więc porządkowałam magazyn swoje go działu, pytałam pracowników muzeum, czy wiedzą, gdzie są karty katalogowe. R. Korneluk przypomina sobie, że wraz z Wiesławem Myszkiewiczem szukali za rubionych kart; część ich odnaleźli w biurku, część na stole.”

Podczas inwentaryzacji do działu winiarskiego dotarła karta katalogowa świecznika, przechowywana w dziale historycznym. Prócz informacji, że została ona założona dla srebrnego świecznika posiadającego numer inwentarzo-

niać niż w przypadku zaawansowanej choroby. Oczywiście nauczyciele ani rodzice nie mogą młodzieży nie nakazać, jednakże od wieków uczymy się na cudzych błędach. Przeto więc ważne wydaje się pokazanie młodym perspektyw, ostrzeżenie z czym muszą się liczyć.

Im jestem starsza, tym bardziej rozu miem sens sokratesowskiego powiedzenia: sztuka życia jest trafianie w złoty środek. Żadna skrajność nie jest dobra. A to przecież młodzież jest tak bardzo skrajna. W wieku 15—16 lat wszystko widzi na krańcach. Dostarczając młodym pewnej sumy doświadczeń, można ich pobudzić do refleksji, rozważyć sądów bardziej wyważonych.

— Jak to zrobić, kiedy? Na „pedał” w planie szkolnym jest bardzo mało czasu. Nauczyciele skarżą się na różne trudności związane z realizacją tych za jeć.

— Z powodu specyfiki przedmiotu nauczyciele mają kłopoty z doborom treści merytorycznych. „Przysposobienie do życia w rodzinie” wymaga szczególnie dobrego przygotowania i kunsztownych metod, które wywołałyby pożądaną sytuację wychowawczą. Przecież tu nie chodzi o zwykłe faszerowanie wiedzą, ale kształtowanie postaw, przekonania, a często co trudniejsze, o ich przekształcanie.

Narzekania niektórych nauczycieli są dla mnie sygnałem, że może nie są oni tymi wychowawcami z prawdziwego zdarzenia. Mówią: dziś tak trudno trafić do młodzieży, bo ona się zamyka, nie chce mówić o sobie. A to przecież jest warunek wyjściowy do pozyskania zaufania.

W realizacji przedmiotu kładzie się nacisk na prawidłowe stosunki w rodzinie w każdym okresie jej życia. Jak wskazują badania, dzieci w wieku 15—16 lat mają najwięcej konfliktów z rodzicami. Umiejętnie prowadzone zajęcia mogą przyczynić się do rozładowania tych konfliktów. Nie od rzeczy będzie ukazanie nastolatkom, że to nie tylko oni mają problemy z powodu aktualnej burzy hormonalnej, ale, że ich „starzy” też mają kłopoty skróto zawarte w serialu „Czterdziestolatek”. Ze mają pierwsze oznaki słabnięcia zdrowia, za nikającej urody, rozgoryczenia z powodu niezrealizowanych własnych planów życiowych, również w stosunku do własnych dzieci. Dodajmy, że jest to okres, w którym oboje rodzice znajdują się w fazie inwolucji, u nich także następuje zmiana funkcjonowania gruczołów dokrewnych, burza hormonalna, niekiedy zakłócająca emocje.

Młodzież trzeba uczyć zrozumienia, wywołać u niej postawy opiekuńcze wobec rodziców.

— We wstępie skryptu dla nauczycieli „pedał” napisała Pani, że traktuje ten przedmiot jako superwychowawczy. Tymczasem status przedmiotu w szkole jest dość minimalny.

— Dużo jest jeszcze do zyczenia w realizacji „przysposobienia do życia w rodzinie”. Trzeba ciągle kształcić kadrę, jej umiejętności. Nauczyciel musi być hobbystą. Powinien mieć szeroką wiedzę teoretyczną i równocześnie interesować się tym wszystkim, czym żyje młoda dzieć, znać jej problemy.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała

LUCYNA GRABOWSKA

Dr Stanisława Łapkowska-Wacowska od 1932 r. zajmuje się kształceniem nauczycieli na różnych szczeblach. Jest autorką licznych prac z dziedziny psychologii, a także opracowań będących wynikiem jej badań nad zainteresowaniami erotycznymi młodzieży.

Trafić w złoty środek

Ciąg dalszy ze str. 1

sualnego proponuje, by ciągle zachęcać młodzież do umiejętności powściągu, samoopanowania. Dzisiaj nasz cały proces socjalizacji powinien na tym polegać. Życie w społeczeństwie, w środowisku, w rodzinie z góry zakłada, że trzeba być dzieć, pójść na kompromisy.

— Przeciwnicy przedmiotu nazywano go w skrócie „pedał”, a zwłaszcza jego części poświęconej życiu erotycznemu człowieka, nie doceniają znaczenia woli, mówiąc, że już same informacje zachęcają młodzież do nieokreślonego seksualizmu.

— Można pogodzić jedno z drugim: dostatecznie dużo informacji (ale jednak tyle, ile młodzież jest w stanie znieść) i jednocześnie rozmowę.

Formułowanie najbardziej wzniosłych celów, sloganów, nie będzie miało nie wspólnego z realizacją, jeśli będzie zbyt daleko odbiegać od istniejącej rzeczywistości. Dla naszego tematu inte-

resującą rzeczywistością są badania na temat niechęci seksualnej młodzieży. Okazuje się, że dziś młodzież rozpoczyna życie seksualne wcale nie wcześniej, niż to miało miejsce w okresie międzywojennym. Wtedy tylko mniej się o tym mówiło.

W naszych warunkach problem zaostriża się nie dlatego, że młodzież ma za dużo informacji, tylko z powodu ciągle wzrastającej dysproporcji między dojrzałością psychiczną a dojrzałością społeczną. Wydułżył się okres przygotowania do podjęcia pracy zawodowej, a tym samym do samodzielnego życia. Bardzo dużo młodych, małżeństw zawartych z konieczności, z powodu ciąży, jest na garnuszku rodziców.

— Liczne przykłady 15—16-letnich matek i nieudanych, rozpadaających się po kilku miesiącach małżeństw nastolatków nie odstrasza skutecznie, bo coraz młodsze dziewczyny rodzą dzieci...

— Dlatego rozważania na temat życia seksualnego traktować należy jako zabiegi profilaktyczne, które podobnie jak w medycynie mogą mieć większe osiągnięcia.

Istniała niegdyś taka forma pojedynku — zwanego „rosyjską ruletką”: w magazynku rewolweru znajdowała się kula. Po pokręceniu bębniem, uczestnik pojedynku przystawiał go sobie do skroni i naciskał spust. Jeśli miał szczęście — nie było strzału. Rewolwer przejmował partner. I tak toczyła się ta makabryczna gra aż do chwili, gdy iglica uderzyła w pocisk i jeden z uczestników ginął.

Tak samo jest z zawałem serca. Nigdy nie wiadomo kogo trafi, kiedy i dlaczego właśnie tego a nie innego osobnika. Dla lekarzy wciąż jest to — obok raka — zawał serca jest największym problemem naszych czasów. W związku z tym, że jest to zjawisko obejmujące wszystkie rozwinięte kraje — lekarze słusznie postulują zjednoczenie wysiłków i ogłoszenie między narodowej krucjaty przeciwko zawałowi.

Postulat ten jest w pełni popierany i inspirowany przez Międzynarodową Organizację Zdrowia. Już w przedszkolach — a nie dopiero w szkołach należy przeprowadzać „cholesterolowy program wychowawczy”, albowiem cholesterol, zdaniem ekspertów, jest główną przyczyną zawału i to często ze śmiertelnym skutkiem (np. w RFN co 6 minut jeden człowiek umiera na zawał).

nionej krwi do serca. Występują objawy lękowe dotkliwe bóle mostkowe. Łaska natychmiastowej śmierci w podeszłym wieku, już przy pierwszym zawałe, jest udziałem tylko nielicznych. Powoli jednak, ale konsekwentnie przesuwają się proporcje w tym kierunku, że zawał rzeczywiście może być traktowany jako „podarek nieba”: trend zmierza w kierunku zgonu na choroby wieńcowe w coraz bardziej podeszłym wieku. W RFN np. liczba zawałów u mężczyzn liczących ponad 75 lat w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci potroiła się. W tym samym czasie obniżyła się znacznie ilość zawałów u mężczyzn poniżej 60 lat. Świadczy to o wielkich sukcesach medycznych w walce z chorobami wieńcowymi i o racjonalnym trybie życia, prowadzonym przez wiele osób, aby za pobiec możliwości zawału.

Zawartość cholesterolu we krwi nie jest już dziś przyjmowana jako czynnik ryzyka, ale przede wszystkim jako wskaźnik: jego podwyższona ilość we krwi sygnalizuje niebezpieczeństwo, nie jest jednak przyczyną choroby. Minęły te czasy, gdy całą groźbę upatrywano w maśle czy margarynie (oczywiście prawdziwe żywienie ma kolosalne znaczenie) ale równie ważne jest palenie, brak ruchu na świeżym powietrzu, a przede wszystkim stresy. Częściej wskazuje się też na źródło genetyczne: lekarze bezradnie wstrząsają ramionami, gdy się ich pyta, dlaczego uniknął zawału taki np. gruby grzesznik jak Winston Churchill, który dożył 90 lat nie uprawiając sporów, ale za to bezustannie paląc cygara i popijając whisky. A takich przecież jak Churchill jest wielu. Obdarzeni są widoczną genetyczną odpornością. Z 50 tysięcy genów, które zawiera każda komórka ludzkiego ciała, kilkadziesiąt z nich jest niewątpliwie „odpowiedzialnych” za wystąpienie chorób serca.

Choroby cywilizacji

NASZE SERCE

Strategię walki z cholesterolem, uważanym za przyczynę zawałów, opracowało ostatnio 26 wybitnych kardiologów z 17 krajów zgromadzonych na konferencji w Neapolu. Postanowili oni dać zdecydowaną walkę zawałowi i jego przyczynom. I tak np. w Niemczech Zachodnich wszedł w życie „Program prewencji ogólnej w walce z chorobami układu krążenia”. Jego celem jest zmniejszenie „czynników ryzyka” powodujących w konsekwencji zawał.

A więc jakie są te czynniki ryzyka? Co szczególnie zagraża temu tak ważnemu organowi — sercu? Niewłaściwy tłuszcz, albo za dużo cukru? Kawa? Alkohol? Monogamia, albo tzw. „skoiki w bok”? Ilu uczonych — tyle odpowiedzi. Ostatnie obliczenie szkodliwych dla serca czynników ryzyka wykazuje ich 560, w tym: miękką wodę, tłuszcze nasycone, zimne napoje, ciepłe dania z jaj itp., itd.

Optymalnie zdrowy człowiek, obdarzony wszystkimi czynnikami, które chronią przed zawałem, jest swego rodzaju „komycznym świętym”. Amerykański badacz zawałów Irving H. Paga z Cleveland w ten oto sposób go opisuje. „Płeć męska, z zawodu urzędnik niższego szczebla albo grabarz, słaba emocjonalność, brak ambicji i ducha walki: nigdy nie próbował osiągnąć samodzielnego celu, ma słaby apetyt, jada przeważnie owoce, jarzyny a pije tran, oczywiście nie pali i nie pije alkoholu, nie posiada auta, telewizora i radia, ma silne owłosienie, jest chudy i słaby, chociaż ćwiczy swoje wątle mięskuty po przez regularną gimnastykę, ciśnienie tętniczne i zawartość cholesterolu we krwi ma niskie, stale kontroluje swój stan zdrowia.” Człowiek ten czyni wszystko co możliwe dla dobra swoich naczyn wieńcowych, a zwłaszcza tych szczególnie ważnych, o grubości ołówka — tętnic 10 centymetrowej długości, u przeciętnego, dorosłego człowieka, które decydują o życiu lub śmierci.

Serce, które w normalnym stanie jest przeciętnie tylko nieco większe, aniżeli zacięnięta pięść, przestaje się rytmicznie poruszać, jeśli tętnice nie przepuszczą dostatecznej ilości bogatej w tlen krwi. Albowiem ten pompujący mięsień, w którego czterech komorach nieustannie pulsuje krew, nie może pokryć swego własnego zapotrzebowania, wyłącznie z tych czterech komór. Błona wyścielająca serce — cienka, gładka „tapeta” jest dla krwi nieprzenikniona. Dlatego ten mięsień musi być zasilany w świeżą krew z zewnątrz — poprzez naczynia wieńcowe (koronaria). Zagrożenie dla zapotrężenia mięśnia sercowego w tego rodzaju krew stanowi najczęściej powolne, ale stale zwężanie się naczyń wieńcowych — w wyniku odkładania się substancji tłuszczowych i wapniowych na ich ściankach. W pewnym momencie może powstać zaccopowanie arterii poprzez uformowanie się wapniowo-tłuszczowego „koreczka”, który uniemożliwia przepływ krwi. Wtedy właśnie występuje zawał.

Trzech spośród czterech chorych na serce męczy się z angina pectoris, co drugi pacjent umiera dopiero po drugim albo nawet trzecim zawałe. W rzeczywistości zawał stanowi swego rodzaju „podarunek nieba” — mówi profesor Egbert Nüssel z uniwersytetu w Heidelbergu — żadnych długich cierpień, często natychmiastowa śmierć. Nie powinien tylko przyjść za wcześnie, i oby nie „na raty”. Zawał jest często poprzedzony wieloma cierpieniami w wyniku niedostatecznego dopływu dobrze utle-

cowymi i o racjonalnym trybie życia, prowadzonym przez wiele osób, aby za pobiec możliwości zawału.

Zawartość cholesterolu we krwi nie jest już dziś przyjmowana jako czynnik ryzyka, ale przede wszystkim jako wskaźnik: jego podwyższona ilość we krwi sygnalizuje niebezpieczeństwo, nie jest jednak przyczyną choroby. Minęły te czasy, gdy całą groźbę upatrywano w maśle czy margarynie (oczywiście prawdziwe żywienie ma kolosalne znaczenie) ale równie ważne jest palenie, brak ruchu na świeżym powietrzu, a przede wszystkim stresy. Częściej wskazuje się też na źródło genetyczne: lekarze bezradnie wstrząsają ramionami, gdy się ich pyta, dlaczego uniknął zawału taki np. gruby grzesznik jak Winston Churchill, który dożył 90 lat nie uprawiając sporów, ale za to bezustannie paląc cygara i popijając whisky. A takich przecież jak Churchill jest wielu. Obdarzeni są widoczną genetyczną odpornością. Z 50 tysięcy genów, które zawiera każda komórka ludzkiego ciała, kilkadziesiąt z nich jest niewątpliwie „odpowiedzialnych” za wystąpienie chorób serca.

Co sygnalizuje niebezpieczeństwo wystąpienia zawału? Podwyższone ciśnienie, cukier we krwi? Co jest przyczyną tego, że u kobiet zawał występuje znacznie rzadziej niż u mężczyzn i to przeciętnie 10 lat później. Jak wytłumaczyć, że 54-letni naczelny dyrektor firmy Daimler-Benz odżywiający się prawidłowo, pijący bardzo umiarkowanie i wypalający tylko kilka papierosów dziennie zmarł na zawał, podczas gdy ośmiu jego kolegów z Rady Nadzorczej, przeżywających nie mniejszą ilość stresów i wcale nie młodszych — cieszy się sta bilnym zdrowiem? Kardynał Döpfner zmarł już w 62 roku życia, jego kolega z Kolonii — Josef Höffner przekroczył już 80-tkę i jest nadal w doskonałej kondycji. Znany aktor Gobert został po walony przez zawał w 60 roku życia, wielu jego kolegów osiągnęło już 80-tkę i nadal występuje. Polityk chadecki Heinrich Krone i wybitny socjaldemokrata Herbert Wehner działający politycznie już ponad 60 lat cieszą się dobrym zdrowiem, podczas gdy wielu znacznie młodszych polityków już dawno zmarło na zawał.

A więc wydawać się może, iż rzeczywiście zawał uderza na ślepo, potwierdza to jedynie fakt różnego znaczenia czynników genetycznych. Ale nie ulega wątpliwości, że unikanie czynników ryzyka, jakimi są stresy, prawidłowe odżywianie, nie palenie papierosów i ruch na świeżym powietrzu stanowi podstawowy element uniknięcia ewentualności wystąpienia zawału. Pozostaje więc w pełni mocy stara grecka maksyma: „trzymaj się trzech lekarzy, którzy ci najlepiej pomogą” a są nimi spokój wewnętrzny i ruch zewnętrzny, dobre samopoczucie, właściwy sposób odżywiania.

Opr. MICHAŁ HOROWICZ
(na podstawie tygodnika
DER SPIEGEL)

Kazimierz Jankowski

Sztafeta



kiedy z wszystkich stron
nadchodziły armie zła
kazano uzbroid się
w cierpliwość

gdy w niewolę szli
uczciwi i sumienni
a dobroć gwałcono publicznie
kazano jednocy się
na wiecach

dziś pokolenie mieszańców
stoi w kolejce
po optymizm

nie ma kto dowiedzieć

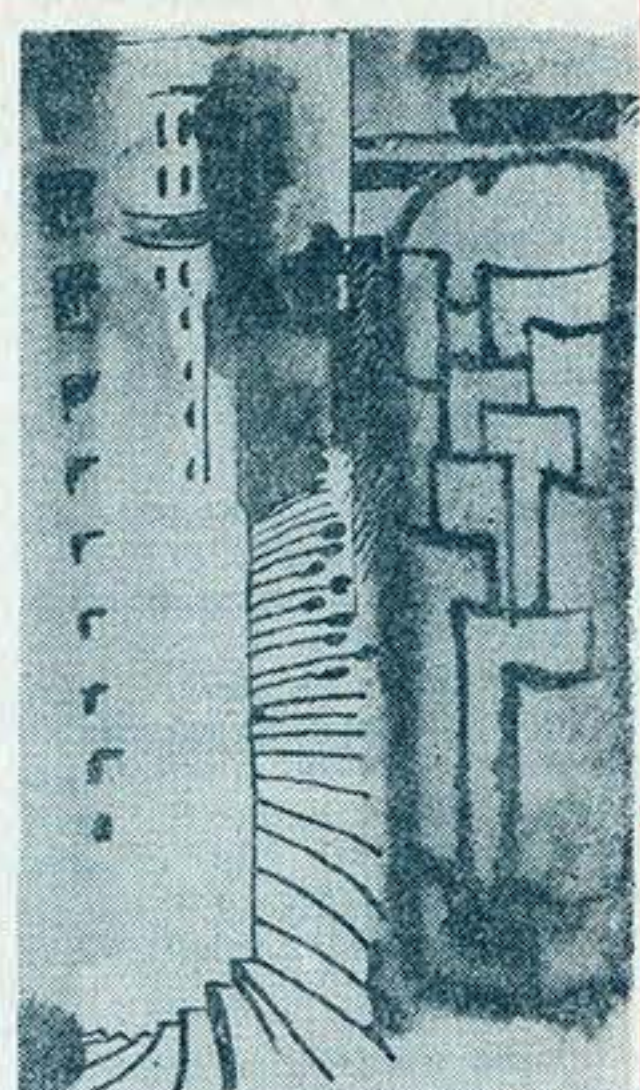
coraz mniej „as
na pierwszej linii pytań
o rozmiary jutra

coraz więcej pionków
w palcach graczy
układających kombinację
potrzeb i możliwości

zawsze ktoś wie lepiej
co dobre dla innych
zawsze jest ktoś bliższy
wiedzącego najwięcej

i niosą pałeczkę mądrości
byś wiedział dokąd iść
w co ubrać się
i jak robotę pokochać

tylko nikt nie wie
dlaczego chodzimy w kółko



Rys. L. H.

Początek lat pięćdziesiątych był okresem, kiedy Kraj Rad podniósł się i rozproszony płuł po zniszczeniach wojennych, czasy opowania atomu, budowy gigantycznych elektrowni wodnych i kanałów... Naród, który wyszedł z wojny jako zwycięzca, miał prawo liczyć na nowe życie — otwarte i wolne — był gotów do niego i zasłużył sobie na nie cierpieniami.

M. Gorbaczow w referacie z okazji 70-lecia Wielkiego Października mówił o latach powojennych: „Coraz bardziej odczuwalnie dawała o sobie znać sprzeczność między tym, jakie stało się nasze społeczeństwo, i poprzednimi metodami rządzenia. W dalszym ciągu

Stalin nie odpowiedział nic. Jednakże czułem, że nie przekonałem go. On przecież zawsze odznaczał się podejrzliwością, a pod koniec życia cęcha ta stała się po prostu patologiczną.

Profesor Jakow Rapoport, aresztowany w „sprawie lekarzy” wspomina to, co swojego czasu opowiadał Władimir Winogradow:

— Podczas ostatniej wizyty u Stalina profesor Winogradow stwierdził gwałtowne pogorszenie się stanu zdrowia swojego pacjenta i zrobił zapis w historii choroby o konieczności przestrzegania surowego reżimu, z całkowitym zaprzestaniem wszelkiej działalności. Na leży powiedzieć iż po śmierci Stalina diagnoza, postawiona przez Winogradow-

Od Mirona Wowsiego domagano się, by przyznał się, że był związany z wywiadem Niemiec hitlerowskich. Miron Siemionowicz rzucił oficerowi śledczemu w twarz: „Zrobiliście mnie agentem dwóch wywiadów, ale nie przypisujcie mi przynajmniej niemieckiego, bo mój ojciec i rodzina brata zostali zamęczeni przez faszystów w Dwińsku”. „Proszę nie spekulować krwią swoich bliskich” — odpowiedział oficer.

Za „sprawę lekarzy” odpowiadał osobiście Riumin, naczelnik wydziału śledczego w szczególnie ważnych sprawach ministerstwa bezpieczeństwa państwowego. Człowiek całkowicie pozbawiony wszelkiej moralności, cyniczny, pragnący władzy i kariery. Riumin świadomie fałszował materiały śledztwa. „Kopać” pod lekarzami zaczął na długo przed ich aresztowaniem. Na długo przed po jawieniem się w prasie informacji o „grupie terrorystycznej” jego ofiarami padli — kierowniczka gabinetu elektro kardiografii szpitala kremłowskiego Sofia Karpaj i konsultant tego szpitala prof. Jakow Etingier. Oskarżono ich o świadomie fałszywe rozszyfrowanie elektrokardiogramu Andrieja Zdanowa. Etingier nie wytrzymał reżimu więziennego i zmarł.

Krag aresztowanych rozszerezał się. I w tym momencie umarł Stalin. Wzięto nych lekarzy nie poinformowano o tym. Przesłuchania kontynuowano, choć niejako z mniejszą aktywnością, jakby siła inercji.

Reakcja wielu tych, którzy byli na wolności — dzieci i krewnych aresztowanych — była następująca: „teraz na szym bliskim już nikt nie pomoże”. W Stalinie widzieli wybawcę i obrońcę...

Nadeszła noc z 3 na 4 kwietnia 1953 r. Wszystkich aresztowanych lekarzy oraz ich żony wyprowadzono nieoczekiwanie z więzienia, wsadzono do samochodów i rozwieziono do domów. Dopiero w tym momencie, na wolności, lekarze dowiedzieli się o tym, co pisa no o nich w gazetach i o śmierci Stalina.

Następnego dnia gazety opublikowały informację, w której stwierdzono m. in.: „Weryfikacja dowiodła, że oskarżenie... są kłamliwe, zaś dowody rzeczowe, na których bazowali funkcjonariusze śledczy są nieprzekonujące. Ustano no, iż zeznania aresztowanych, potwier dzające wysunięte przeciwko nim zarzuty, zostały uzyskane przez funkcyj nariuszy wydziału śledczego byłego mi nisterstwa bezpieczeństwa państwowego w wyniku niedopuszczalnych i naj surowiej zabronionych przez ustawodaw stwo radzieckie poczyną w śledztwie”.

Niżej następował tekst o anulowaniu dekrety w sprawie odznaczenia Timos zuka Orderem Lenina. Ona sama jeszcze przez dłuższy czas pracowała w szpitalu, a następnie przeszła na emeryturę. Należy o tym powiedzieć choćby dlatego, iż do tej pory ten i ów daje wiarę pogłoskom i upowszechnia je, iż Timoszuk zginęła rzekomo w polowie lat pięćdziesiątych w wypadku samochodowym, padając ofiarą czichłych intryg. Nie, szczęśliwie dożyła starości...

Odzyskując nieskalanе nazwisko, powrócili do owoceń pracy na niwie medycznej Wowski, Winogradow, Kogan, Jegorow, Feldman, Wasilienko, Grinstein, Zielfienin, Priebrażenski, Popowa, Zakusow, Szierieszewskij, Majorow i inni.

Jeśli zaś chodzi o Riumina, to jak napisano w komunikacie rządowym: „uwzględniając szczególnie niebezpieczny charakter jego działalności i ciężkie następstwa popełnionych przez niego przestępstw, kolegium wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR skazało Riumina na najwyższy wymiar kary — na rozstrzelanie”. Surowe kary ponieśli również inni pracownicy byłego ministerstwa bezpieczeństwa państwowego, którzy uczestniczyli w fałszerstwach i w wysuwaniu fałszywych oskarżeń.

Fragmenty artykułu DAWIDA GAJA nt. „Koniec sprawy lekarzy” opublikowano w tygodniku „Moskowski je Nowosti” nr 6 1988 r.

Z prasy radzieckiej

Koniec „sprawy lekarzy”

trwało nadużywanie władzy i naruszanie socjalistycznej praworządności. Zostały sfabrykowane „sprawa leninogradzka” i „sprawa lekarzy”...

13 stycznia 1953 roku TASS poinformowała o aresztowaniu grupy lekarzy. Ogłoszono, iż terrorystyczna grupa me dyków stawiała sobie za cel skrócenie, poprzez szkodliwe leczenie, życia aktywnym działaczom państwa radzieckiego. „Ofiarami tej bandy czelokształtnych bestii padli towarzysze A. Zdanow i A. Szezerbakow” i dalej: „Usta lono, iż wszyscy członkowie terrorystycznej grupy lekarzy pozostawali na służbie wywiadów zagranicznych, zaprzęgni im duszę i ciało, byli ich najemnymi, płatnymi agentami. Większość członków grupy terrorystycznej — Wowski, B. Kogan, Feldman, Grinstein, Etingier i inni — została kupiona przez wywiad amerykański. Zostali zwerbowani przez filię wywiadu amerykańskiego — międzynarodową burżuazynno - nacjonalistyczną organizację żydowską „Joint”. Inni członkowie grupy terrorystycznej (Winogradow, M. Kogan, Jegorow) są... starymi agentami wywiadu brytyjskiego”.

Informacja spadła jak grom z jasnego nieba. Koryfeusze nauki i praktyki medycznej, konsultanci szpitala kremłowskiego — szpiegami i mordercami? Ludzie z początku nie chcieli w to wierzyć. Wielu jednakże uwieryło i w rezultacie zaczęły świecić pustkami przy chodnie, a w szpitalach pacjenci odmawiali przyjmowania leków. Białe fartuchy budziły strach.

Od czego zaczęła się „sprawa lekarzy”? Gdzie znajdowały się jej źródła? Pewne światło rzuca na to Jefim Smirnow — członek Akademii Nauk Medycznych, Bohater Pracy Socjalistycznej, po wojnie minister zdrowia ZSRR. W jednym ze swoich wywiadów wspomina:

— Niedługo przed 13 stycznia 1953 roku byłem gościem Stalina na dachu położonej niedaleko Soczi. Spacerowaliśmy po ogrodzie i rozmawialiśmy. Stalin, pokazując drzewa, na których rosły cytryny i pomarańcze, opowiadał jakich wymagają staran. I nagle bez jakiegokolwiek przejścia zapytał:

— Towarzyszu Smirnow, czy nie wie cie, jaki lekarz leczył Dymitrowa i Zdanowa?

— Wiem — odpowiedziałem i wymieniłem nazwisko.

— Dziwne. Jeden lekarz leczył i obaj umarli.

— Towarzyszu Stalin, lekarz nie ponosi tu winy...

— Jak to, „nie ponosi winy”?

— Interesowałem się historią choroby Dymitrowa i wnioskami patologiczno-anatomicznymi. Śmiem was zapewnić, że nie nie można było zrobić. Wiem, nawiasem mówiąc, że sam Dymitrow polecił Zdanowowi tego lekarza. Uważał go za wykształconego i taktownego człowieka oraz wysoko wykwalifikowanego specjalistę.

Dlaczego kradniemy?

Niedawno telewizja propagująca światowe nowinki techniczne zaprezentowała robota wydającego w jednym z francuskich szpitali trzy tysiące posiłków dziennie. Zmysłowa maszyna, sama podróżująca windami, wędruje szpitalnymi korytarzami i dostarcza posiłki do łóżek pacjentów. Ową telewizyjny program oglądałem w towarzystwie. Komentarz współopracujący był zgodny: „U nas to się nie może udać. Głupia maszyna, to stanie po drodze okradzioną, a może się skończyć i tak, że ukradną samą maszynę”.

Kradniemy. Jesteśmy nie tylko „Feni cjanami Północy” wykazującymi się handlowymi umiejętnościami w czasie zagranicznych wojów, należymy też do najbardziej złodziejskich narodów Europy. Złodziejstwo zyskało w naszym kraju społeczne przyzwolenie, słowo „kradzież” obrosło mchem przyzwyczajenia eufemizmów — zamiast „ukradłem” mówi się: „załatwiłem”, „skom-binowałem”, „zrobiłem boki”. Nawet zawodowi złodzieje mówią, że „prześwieciłli faceta” zamiast: „okradli faceta”.

Znam ludzi, którzy w kraju nie ukradli nawet śliwki, za to bez żenady opowiadają o swoich złodziejskich czynach za granicą. Wielu ludzi szuka zatrudnienia pod kątem możliwości kradzieży — kto pracuje w gecie, ten za wsze do domu coś przyniesie. W świetle naszego surowego prawa 90 procent Polaków powinno odsiadywać wyroki za kradzieże lub paserstwo, i to wyroki wcale niemałe, bo od roku wzwyż.

Oczywiście wielu czytelników poczuje się obrażonymi. Ale przypomnij sobie czytelniku, czy nie kupowałeś nowej umywalki od pana Kazia? Pan Kazio zorganizował tę umywalkę na budowie, czyli po prostu ukradł-a ty, szanowny czytelniku, byłeś paserem, bo świadomie kupiłeś kradziony towar. A pamiętasz jak zabrakło ci paliwa do malucha, jak zabrakło cementu na budowę domu?

Zjawisko polskiego złodziejstwa, jak każde występujące w takiej skali, ma złożone przyczyny. Pozostałości z zaborów i okupacji włoży jednak między bajki. Przyczyn należy szukać w naszej historii najnowszej. Jest to historia naszych niepowodzeń gospodarczych, reformowanych pierwszych czytaniek, historii rozbuchanego rynku, szalonych lat siedemdziesiątych, zwariowanych cen, rozbuchanych potrzeb (nie na miarę możliwości) i zakorzenionej w nas podwójnej moralności.

Niedawno w jednym z miast miało miejsce bezprecedensowe włamanie. Otóż zrobiono skok na miejski szaleń i skradziono nowe krany. Musiały te krany komuś być piekielnie potrzebne, choć myślę, że włamanie dokonał nie ten potrzebujący kranów. Prawdopodobnie była to praca na zlecenie, a krany poszły za trzy lub cztery wina mar Ki jabol.

Traktorzysta z PGR-u sprzedał przy czepe rzepakem wartego 70 tys. za pół litra wódki. Brzmi to sensacyjnie, ale zjawisko jest powszechne, choć ilość faszek może być zmienna. Za pół litra idą

wanny, zlewozmywaki, krany i muszle klozetowe, akumulatory i opony. Miałem kiedyś okazję zaobserwować, jak wzrastająca cena wódki potęgła złodziejski proceder. Nocne straż w tym i innych zakładach podwojono, straż za opatrzoną w krótkofalówki, zakład był przez całą noc pilnie strzeżony. Bilans nocy: jednego złodzieja złapano na pociąg z akumulatorem, dwóch innych złodziei ze skrzynią biegów wymontowaną z zupełnie nowego samochodu.

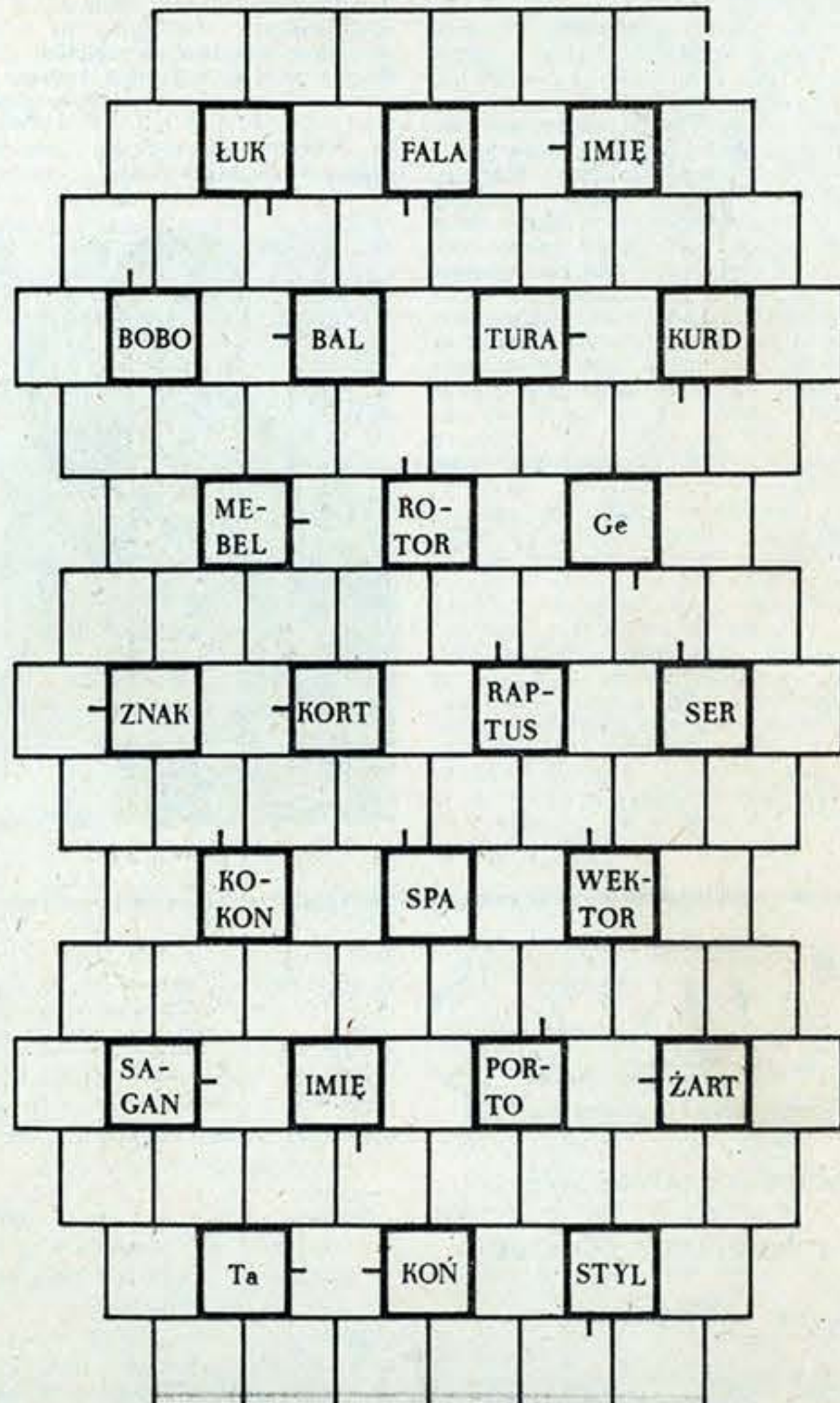
Wielu ludzi wychodzi z założenia, że pobory powinni donieść w całości do domu, a na przepicie jest to, co się ukradnie i sprzeda. W wielu zakładach pracy kradnie się, a później pije — z nudów — po prostu nie ma pracy, praca jest źle zorganizowana, brakuje materiałów. A jeszcze jeśli coś leży i samo pcha się w ręce? Głośny był przypadek kradzieży z budowy hotelu „Forum” kanistrów z cieczą przypominającą zapachem alkohol spożywczy. Złodzieje po degustacji znaleźli się w szpitalu, a naiwni Szwedzi dziwili się, jak można kraść i wypijać coś, co zapachem tylko przypomina naszą z czerwoną kartką. Swoją drogą Szwedzi mocno się musie li tłumaczyć, dlaczego koło kanistrów z kuszącą cieczą nie stał chociaż jeden stróż.

Inna strona medalu: kto lubi mieć w domu starą muszlę klozetową, stary zlewozmywak, czy sypaną się umywalkę? Kupić nie kupisz, ale zawsze można zorganizować. Tylko jak to się ma do siódme go przykazania?

PIOTR PIOTROWSKI

nadodrze

ROZRYWKI UMYSŁOWE



WIRÓWKA PANORAMICZNA
(oprac. Wiesław Pyżewicz)

Kierunek wpisywania 6-literowych wyrazów prawoskrętny.

Za bezbłędne rozwiązanie zadania rozlosujemy nagrodę książkową wartości ok. 1000 zł. Rozwiązania z naklejonym na kopercie, zamieszczonym obok kupo-

nem, prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 2
Wirówka panoramiczna: knieja, statek, kobałt, korner, nektar, sterta, nikiel, Kornel, terier, peria, kłamoto, collie, rapier, lapsus, or-cja, Marcin, pluton, li-piec, Anielia, morion, partia, siewka, wioska, siarka.

Nagrodę książkową wartości ok. 1000 zł wylosowała p. Jadwiga Warda, zam. ul. Rynek 20/22, 66-110 Babimost. Gratulujemy.



JERZY PIOTR MAJCHRAK
— dyrektor Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Zielonej Górze



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA

okolicce z zaciąg

Amerkański film ma nastawienie patriotyczne. Wszystkie dorosłe osoby w Stanach Zjednoczonych wiedzą, że wolne społeczeństwo czerpie swe siły z tradycji, patriotyzmu i wielkiej siły moralnej religii. Na tym tle amerykański mit o „dzikim zachodzie” jest tylko jednym z mitów o wolności. Czy wolno nam jednak myśleć tak, jak myślą Amerykanie?

W amerykańskim filmie amerykański człowiek spotyka się z Rosjaninem. Flaga Romanowów podniesiono wysoko na maszt w dalekiej forcie, w pobliżu indiańskich rezerwatów. Stosunki rosyjsko-amerykańskie były w istocie dosko-nale od samego początku istnienia Sta-

HAMBURGERY, DZINSY, HOLLYWOOD...

nów Zjednoczonych. Rosjanin jest jednak człowiekiem z innego świata. Tu wolność — tam tyrania, tu prawa człowieka — tam feudalny bał.

Amerikanin nie rozumie, uśmiecha się, szczerzy zęby, jest w nim jakby wspomnienie tego, co zostawił, co ma już za sobą. Zarozumiałość Rosjanina i bezradność amerykańska prowadzą do konfliktu. Pójdź o sprawę, którą trudno byłoby nawet wyśnić — o bizon w indiańskim rezerwacie. W ten sposób wielka legenda amerykańska powiązana została z rosyjskim bezprawiem. Wszyscy, którzy oglądają telewizyjny serial „Na dzikim zachodzie”, wiedzą o co chodzi.

Jak widać problem indiański nie za-kłócił poczucia moralnej perfekcji amerykańskiego kina. Rosjanin jest czarnym tytem. W konwencji filmu nie jest to przypadek. Każdy centymetr taśmy opracowano z największą dokładnością. Nawet podstępni i ścigani Indianie wydają się szczęśliwym narodem korzystającym z praw i wolności. Tylko zresztą dlatego, że są częścią amerykańskiej rzeczywistości.

Czyżby więc kino było aż tak zachłanne? Hamburgery, dzinsy, Hollywood i jakby tego jeszcze było mało.

JERZY MENDYK

MoRgińa4ki

TRADYCJA ŁĄCZY? W ostatnim, z grudnia ub. roku, miesięczniku XX Michalitów „Powściągliwość i praca” Andrzej Dźwicz snuje swoje moskie-wskie wspominki z lat siedemdziesiątych, opisując m.in. wieczór wigilijny u swoich przyjaciół: „...z prawdziwym przekonaniem, pito za Polskę (nasze przywiązanie do tradycji imponowało moim przyjaciołom bardzo) — i za przyszłe spotkanie. Smutniejsze refleksje odganiano. Nastroj był swojski, moskiewsko-warszawski, tylko pijana sąsiadka hałasowała za ścianą...”. Niestety, ta tradycja opilstwa nie jest naj-lepszym łącznikiem między narodami.

KTO JEST PATRONEM OLCZAKA. Leszek Żuliński, omawiając zbiór szkiców krytycznych Tadeusza Błażewskiego „Rysopisy”, poświęcony młodej prozie, pisze w miesięczniku „Literatura” (nr 11—12 z ub. roku), iż Olczak podpięta się „pocziwymi i zapomnianymi Władysławem Zambrowskim”. Otóż takiego pisarza nie było. Jeśli wierzyć przewodnikowi encyklopedycznemu „Literatura polska” — żył i tworzył w latach 1891—1962 powieściopisarz i dziennikarz Władysław Zambrowski, o którym pisze Stefan Licharski, iż „...jan-tazę, dowcip i gawędziarską swadę łączy w swych utworach z refleksją na temat wartości ogólnohumanistycznych, z pogodnym sceptycyzmem wobec ludzkiej natury i zmienności losu”. To by nam pasowało jak ułal do charakterystyki twórczości Janusza Olczaka, z dalekiego Lublina, wciąż pamiętającego serdecznie o swoich „oko-licach skwierzynnych”.

DOBRE SAMOPCZUCIE. W bydgoskich „Faktach” (nr 5) rozmowa z pro-zaikiem Janem Drzeżdżonem, faworytem Henryka Berezę, „Zawsze wiedziałem — opowiada pisarz — od początku, że pisanie jest czymś, w czym można się zagubić bez reszty i że będę kiedyś pisał. Nie wiedziałem, kiedy to nastąpi, ale wiedziałem, że nastąpi”. I nastąpiło, co wcześniej przewidywał Berezę.

ZŁE SAMOPCZUCIE. W liście do redakcji, opublikowanym w tym samym numerze „Faktów”, Stanisław Turowski z miejscowości Brody Zarskie słusznie konstatuje: „Świadomość faktu, że przeszło 40 proc. Polaków nie za-

gląda do książek, dla szkolnictwa powinno stać się wielką mową sygnalem”. Mocno wamyśmy w efekt tego szlachetnego apelu. Nawet w czasie dzwonka na lekcję.

OPINIE METEOROLOGICZNE. Na pierwszej stronie „Polityki” (nr 5) czytamy dwie sprzeczne opinie na temat dotychczasowej, grudniowo-styczeniowej zimy — nie zimno. Zygmun Szeliga: „kompletna wariacja klimatyczna”. Marek Henzler: „...kolejna zima okazała się taskawa i właściwie dotąd się nie pojawiła, co jest dobro-dziejstwem dla naszej zwichrowanej gospodarki”. Prognoz na marzec brak.

„POLITYKA” jest konsekwentnie centrowo-realistyczna. A jednak panowie nie ugodnili poglądów...

CO DZIESIĄTY. Pod takim tytułem w tym samym nr-ze „Polityki” Barbara Pietkiewicz publikuje rozmowę z rzecznikiem ruchu na rzecz kobiet i mężczyzn homoseksualnych. Rzecznik stwierdza m.in.: „Bóg stworzył mnie homoseksualistą i obdarzył temperamentem. (...) W Nowym Testamencie nie ma ustępów potępiających homoseksualistów. Tym bardziej boli nas postawa Kościoła, który nie akceptuje nas — zaleca nam wyłącznie wstrze-mięliwość seksualną. Walka z naturą jest tymczasem bezcelowa, albo — pro-wadzi do dewiacji. (...) Po 1980 r. zwłaszcza, wyjechała z Polski ogromna liczba homoseksualistów, często wykształconych, świetnych fachowców. W Niemczech Zachodnich, na przykład, polscy partnerzy są bardzo modni. Wy-starczy dać ogłoszenie w gazecie: Po-lak poszukuje przyjaciela życia. Dosta-je się setki ofert”. Gratulujemy. Nie-ziły to zatem „towar” eksportowy. Tyl-ko kto płaci za jego wykształcenie?

Z KOGO SIĘ ŚMIEJEMY? W tygodni-ku „Rzeczywistość” (nr 6) kolejny felie-ton Bożeny Krzywoblockiej z cyklu „Kurtyna w górę” tak oto się rozpoczyna: „Teatr Syrena przyzywał nas do tego, że zawsze się można tam po-smiać, choćby nawet z nadmiernych ambicji autorów scenicznym w godza-ju pp. Grońskiego i Passenta”. Tygo-dnik „Rzeczywistość” przyzywał nas do życzliwych uśmiechów, adresowa-nych do Anny Błażuckiej i jej Pięta-szka. Tylko, gdzie oni się dziś podzie-wają?

ZBRODNIA I KARA. Pod takim tytu-łem „Przegląd Tygodniowy” (nr 6) za-mieszcza następującą informację: „Pań-stwowemu Ośrodkowi Maszynowemu w Strzelcach Krajeńskich nakazano zapłacić 60-milionowy podatek od plac,

co praktycznie pozbawiło go zysku. Ka-ry tej można by uniknąć, gdyby POM nie pracował tak dobrze, lecz jedynie „na dwie trzecie”. Szczęście POM u-strzegł się pr cy jak najlepszej, boby musiał do niej dopłacić. Zdrowy sys-tem wynagradzania to u nas już chro-nicznie chora sprawa”. Jak się dowie-dzieliśmy, załoga POM w zamian za poniesione straty finansowe otrzymała rekompensatę w postaci spotkania z młodymi poetami lubuskimi. Ich wier-sze zostały przyjęte owacyjnie, złasz-cza, iż na ów czas przerwano pracę.

ALUZJA? Andrzej Szmak w tym sa-mym numerze „Przeglądu Tygodniowe-go”, w felietonie „Prognoza” píše m.in.: „W kilku miejscach kraju trys-nie ropa, ale nie należy przywiązywać do tego zbyt dużej wagi. Tam, gdzie występuje stan zapalny, tam z reguły pojawia się i ropa”. W pobliżu zielo-nogórskiej miejscowości Kije ropa już trysnęła. Objawów stanu zapalnego po-szukuje 40 komisji kontrolnych.

ZIMNY PRYSZNIC NA KOTANSKIE GO. Echa ubiegłorocznych akcji anty-alkoholowych Marka Kotańskiego je-szcze dziś pobrzmiwają w społecznym obiegu. W 1 zeszycie „Odry” Zdzi-sław Smektała publikuje tekst zatytu-łowany „Marka pana Marka”, pisząc m.in.: „...Marek Kotański jest wzorco-wym przykładem powierzchownego niestety sposobu myślenia i działania. Marek Kotański, zgodnie z zasadą dr. Laurence’a J. Petera, przekroczył swój stopień kompetencji”. Następnie autor obwinia Kotańskiego za brak skutecznego działania. A sam deklaru-je swoją propozycję „picia rozumnego”. Czekamy!

WSPOMNIENIE CZAR. W lubelskiej „Kamienie” (nr 3) IJK w felietonowo-wspomnieniowym cyklu „Okolicie sztuki” tym razem pisze o realizmie socja-listycznym w plastyce: „W szarej le-gendzie realizm socjalistyczny to bryła bez zmaszerek, dzieło uwarunkowki i sztywnej doktryny, a tu patrzcie pań-stwo: w wyjątkowo twardej okolicy naszych powojennych dzieł mówi się publicznie o „przeladowaniu czerwieni” i z szacunkiem traktuje „dobre obrazy o obojętnym temacie”. (...) Pro-fesor Juliusz Starzyński, jeden z pro-motorów realizmu socjalistycznego w Polsce, zauważył, że ekspozycja (II Ogólnopolskiej Wystawy Plastycznej — nasz przyp.) jest szara, brak barwy, obawa przed barwą, brak umie-jetności rysowania”. Słowa Profesora są nadal aktualne.